

# GŁOS KATOLICKI

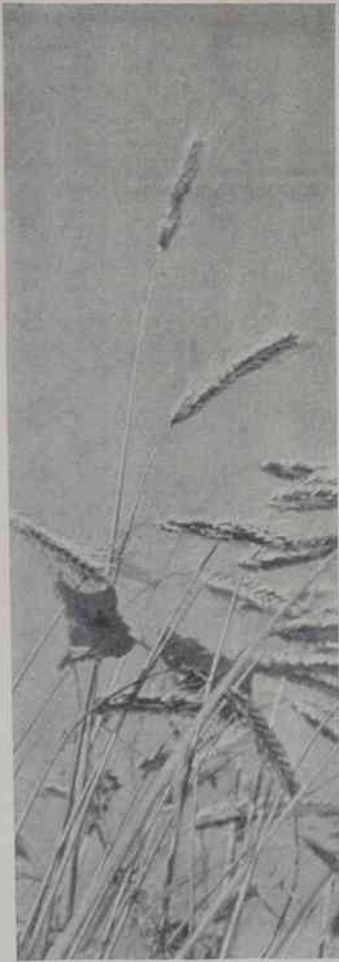
TYGODNIK WYCHODŹSTWA

19 (782)

NIEDZIELA, 9 maja 1976

ROK XVIII

## Uklęknij, wyśpiewaj się Bogu!



„Żniwo wielkie, ale robotników mało!”

9 maja 1976 roku

Światowy Dzień Modlitw

o Powołania Kapłańskie i Zakonne.

...Chcę wam przedstawić świątobliwego kapłana; kapłana bez wątplenia wyjątkowego, bo świętość jest zawsze wyjątkowa nawet w gronie ludzi wyświęconych; ten jednak przypomina mi wielu znajomych. **Ksiądz Huvelin**, zwykły wikary parafii Saint Augustin, ma niezliczonych podobnych braci. Ponieważ jednak nawrócił ojca de Foucauld i był jego kierownikiem duchowym, nazwisko jego będzie znane wielu przyszłym pokoleniom; to jest święty nieznan, ukryty w cieniu słynnego świętego. Lecz życia ich są zespolone zarówno w doczesności, jak i w wieczności.

Charles de Foucauld w pewnym momencie swego życia spotkał księdza. Owego październikowego ranka 1886 roku przy konfesjonale parafii Saint Augustin w Paryżu zaczął nową egzystencję. Nic zwykleszego od spotkania spowiednika z penitentem? Przeciwnie, nic bardziej niezwykłego. Posłuchajmy dialogu między wicehrabią de Foucauld (który stał, nie uklęknął) i cieniem ledwie dostrze galnym po drugiej stronie kratki:

— Proszę księdza, jestem niewierzący. Przeszedłem, aby ksiądz mnie oświecił.

— Uklęknij, wyśpiewaj się Bogu, a uwierzysz.

— Ale ja nie po to przyszedłem!

— Wyspiewaj się.

Kim był ksiądz, który w ten sposób zadawał gwałt niewierzącemu? Gdyby grzesnik oburzył się i odszedł, nikt nie mógłby przyznać słuszności kapłanowi ani z punktu widzenia rozumu, ani nawet łaski. Lecz człowiek ten uklęknął i wyznał od razu wszystko, co popełnił w okresie swojej smutnej młodości. I wtedy uwierzył.

Ksiądz, zwykły wikary nazwiskiem Huvelin, śmiało dalej atakował wydając niespodziewany rozkaz:

— Jesteś na oczko? Przystąpisz do komunii świętej.

Jak to! Bez żadnego przygotowania? Charles de Foucauld powstał z kłęczek:

przyszły święty pierwszy raz przystąpił do komunii. Jeśli zastanowimy się, jaka egzystencja zrodziła się w owej chwili i w owym miejscu — musimy zgodzić się, że wikary kościoła Saint Augustin, mimo zewnętrznych pozorów, potrafił ocenić, jaka dusza została do niego skierowana: ten rodzaj jasnowidzenia istnieje i jest dany pewnym ludziom. A może ksiądz Huvelin nic nie wiedział, tylko był posłuszny jakiemuś natchnieniu?

Jeśli dobrze pamiętam, niegdyś za młodu, w domu Roberta Vallery-Radota pobożne niewiasty opowiadały o dobrze sobie znanym księdzu Huvelin; ale słuchałem tego, co mówili z roztargnieniem. Kim był? Należa do rodzaju ludzi którzy przez pokorę zdają się lękać, aby ich nie wychwalano w przyszłości. Zacierają za sobą ślady; poświęcają się dla innych; cierpią i umierają. Każdy postępek, każde wypowiedziane lub napisane przez nich słowo było pokarmem dla dusz, ale niczego nie pozostawili, nie mamy nawet materiału do biografii. Ksiądz Huvelin należał do tego typu nieznanych istot i wspomnienie o nim byłoby zaginęło, gdyby nie fakt, że szedł śladem ojca de Foucauld. Na zawsze pozostał związany z penitentem, z którym zetknął się w październiku 1886 roku, a który po jedenastu latach w rozmyślaniu pisanym w Nazarecie zanotował: **Boże mój, umieściłeś mnie pod skrzydłami świętego człowieka i pozostałem pod ich ochroną. Wspierałeś mnie jego rękami**". Dopóki żył ksiądz Huvelin, ojciec de Foucauld trwał w jego cieniu. Natomiast dla potomności ksiądz Huvelin żyje w cieniu ojca de Foucauld wyniesionego do wiecznej chwały.

Kim on był? Owego październikowego ranka 1886 roku, kiedy zadał gwałt duszy, przejawiała się istotna cecha jego natury, czy też raczej wyjątkowy charakter jego powołania, któremu dał wyraz w następującym zwierzeniu: „Ilekroć (ciąg dalszy na str. 3)

## Uwierzyć miłości

Jest taki film sławnego reżysera szwedzkiego, Bergmana pt. „Jak w zwierciadle”. Centralną postacią filmu jest młoda chora umysłowo kobieta, podleczonego nieco, ale wszyscy — jej mąż, ojciec, lekarz, brat siedemnastoletni żyją w oczekiwaniu nieuchronnego i ostatecznego powrotu choroby... Młody chłopak na słowo wypowiedziane przez ojca: „Bóg” — zapytuje:

— A czy możesz mi dać jakiś dowód na to, że Bóg istnieje?

— Tak. MIŁOŚĆ. Wszystkie rodzaje miłości. Miłość najwyższa i najniższa, po dobnie jak samo jej pragnienie i płacz po jej odejściu, to wszystko jest dowodem...”

\*

Gdy cierpimy, gdy w męce serdecznej wołamy: Dlaczego?! Jedyna odpowiedź: Uwierzyć! ON JEST!

„W naszym ponurym wieku atomowym, w którym wszędzie panoszą się strach, człowiek szuka przewodnika. Świadomie lub nieświadomie zaczyna po omacku szukać Boga. Wszystko, co osiągnąłem w dziedzinie wiedzy doprowadzało mnie do niezachwianego przekonania: Bóg istnieje. Nie wierzę w Boga. Wiem, że On jest” (psycholog i pisarz H. Jung).

To są twierdzenia nie tylko ludzi uczonych. To jest doświadczenie niejednego ojca, matki, nawet młodego człowieka, który jednak w życiu przeszedł niejedno, który otarł się bodaj o tajemnicę cierpienia!

— Bóg jest! On był zawsze ze mną: w obozie, pod gradem bomb i pocisków, w głodzie i chłódzie i w tułaczce emigracyjnej, w codziennym trudzie zdawało się ponad siły... gdy byłam sama z gromadką dzieci, gdy byłam sam i bezbronny, gdy śmierć w oczy zaglądała, gdy zdawało się wszystko stracone...

Mówili ludzie wracający z obozów koncentracyjnych:

— „Tylko Ewangelia opisała prawdziwe życie człowieka. Zabrano nam wszystko. Nikt nie był człowiekiem, tylko numerem. Z góry skazanym na śmierć. Bito nas, katowano. Upadaliśmy ze zmęczenia na apelu, przy pracy, w marszu i na ćwiczeniach gimnastycznych. Umieraliśmy bez przekleństwa i zemsty. I tam przekonał się, że to nic nowego. Tak postępowano już przed wiekami. I

wtedy był Człowiek obdarty z szat, bicowany i cierniem ukoronowany. Upadał pod ciężarem swej kaźni. I umierał z modlitwą na ustach. Tam Ewangelia nie była już historią, pamiętnikiem. Była życiem i historią ludzkiego życia. I czuło się Boga obok siebie. I widziało się Go w tej męce”.

Przed wiekami Człowiek umierający na krzyżu pytał: „Boże mój, dlaczego mnie opuścił?... Ale to nie były Jego ostateczne słowa. Ostatecznie było: „OJCZE W RĘCE TWOJE ODDAJĘ DUCHA MEGO...”

Umierał za nas. Pytał — dla nas. I dla naszego przykładu wypowiedział te ostateczne słowa: byśmy uwierzyli Miłości! — Byśmy w ręce Ojca — Boga, który jest i jest miłością — złożyli nasz trud codzienny, naszą mękę serdeczną, nasze życie!

I krzyż nie jest ostatnim słowem. I grób nie jest ostatnim słowem. — NIE MASZ GO TU! POWSTAŁ Z MAR. TWYCH!”

Wierzymy w Boga, który jest Miłością. Wierzymy w ostateczne ZWYCIĘSTWO MIŁOŚCI!

o. Edward

## PASTERZ DOBRY

Chrystus:

*Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz daje swe życie za owce swoje... Znam owce swoje i owce mnie znają...*

*Mam ja też inne owce, które nie są z tej owczarni. I te muszę przyprowadzić, będą słuchać głosu mego i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz (J 10, 11-16).*

Znam głos Twój, Panie.

Ostrzeżenie sumienia. Wspomnienie. Wyrzut. Pościg, aż do miejsc nawrócenia.

Znam nawet surowsze tony, które przecież nigdy nie są odrzuceniem ani potępieniem. Serdeczne dzięki za to.

Nawet odczute boleśnie uderzenie, to nie Twoje — Dobry Pasterzu — smagnięcie, ale Twoje ubezpieczenie mnie. Dziękuję.

Znam. Teraz chcę słuchać głosu Twego (J 10, 27). Nie jak „zdalnie kierowany”, ale jak ten, który całkowicie zawiązał „umiejętności i nauce”, a przede wszystkim dobroci Pasterza. Nie jak jednostka stała, ale partner przymierza, z Pasterzem w przyjaźni.

Pozwól, że włączę się do pracy nad jedną owczarnią przy jednym Pasterzu. Znam tych, którzy nie są w Twej owczarni. Znam ich imiona, poglądy, ich zahamowania i urazy. Ich bolesne potyczki, których blizny zostały w świadomości.

Będę im mówił o Tobie jako o Dobrym Pasterzu.

Z sercem nienagannym.

Bez podstrzygania ich wełny.

Powrócą i oni do Pasterza.

Bądź nam wszystkim Pasterzem.

Ks. T. Rytko



(dokończenie ze str. 1)

spojrzę na kogoś, mam ochotę udzielić mu rozgrzeszenia". W moim pojęciu są to najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wyφυnęły z duszy kapłana, a jednocześnie i najprawdziwsze. utożsamiają go bowiem z Mistrzem. Zawarte we mszy świętej słowa: „To jest ciało moje, które za was będzie wydane: to czynicie na moją pamiątkę” (Dz Ap 1 Kor 11, 24), zostały wypowiedziane raz jeden w zupełnie wyjątkowych okolicznościach. Natomiast ileż razy Chrystus musiał powtarzać słowa: „...odpuszczają ci się grzechy twoje” (Łk 5, 20), przy ilu spotkaniach, do ilu ludzi spoczywających na łożu, klęczących w uwielbieniu lub z czołem przy ziemi! On przyszedł, „... aby zbawił, co było zgineło” (Mt 18, 11). Po to również przychodzi każdy ksiądz. Ksiądz Huvelin, ilekroć spojrzę na kogoś, ma ochotę udzielić mu rozgrzeszenia, a zatem spogląda na każdą twarz okiem samego Chrystusa.

Ale trzeba rozumieć sens tego nadludzkiego pragnienia. Tu nie chodzi o ułatwienie, o danie czegoś przy pomocy gestu, który nic nie kosztuje. Jeżeli chodzi o księdza Huvelin, historia jego życia świadczy, że wyspowiadanie czyjejsz duszy i dosłownie obarczenie się nią równa się wzięciu na siebie roli Kogoś innego. Kapłan pragnący udzielić rozgrzeszenia każdej napotkanej istocie płaci za to życiem w krzyżowej męce.

Młody Huvelin ofiarowuje siebie już w szkole przy ulicy d'Ulm. Pozornie taki sam jak wszyscy, również wesoły, również żywy. Ale już zdumiewa młode powtorki ze swego otoczenia: wyrzeka się pożywienia. Odmawia go sobie tak dalece, że chłopcy, którzy lubią kolege, czują się zaniepokojeni i zawiadniają o wszystkim dyrektora szkoły. Łatwo zrozumieć: chłopiec już chce płacić za innych. Już zaczyna brać na własne barki wszystko co pokolenia grzeszników hędą z siebie zrzuciły w konfesjonale kościoła Saint Augustin (stał przy ścianie, po stronie Epistoły — ale dziś już nie istnieje).

Bardzo wczesnie cierpienie zaczęło dręczyć ciało zniekształcone przez podagrę. Jednakże nigdy nie przerwał głoszenia kazań i słuchania spowiedzi. Chłopiec ze szkoły przy ulicy d'Ulm przestraszył kolegów głodzeniem się: później chory ksiądz sypiał na podłodze, a tylko ze względu na służącą rozścielał łóżko i miał poduszki. Na kazalnicę wcho-

dził opierając się na ramieniu kościelnego: w pierwszej chwili wyglądał na bezsilnego i jakby nie mógł przemówić, lecz po chwili głos jego nabierał mocy i brzmieniem swym wypełniał nawy. Co mówił? Takie oto słowa na przykład: „Czy istnieje zadośćuczynienie bez cierpienia? Czy Chrystus zyskiwał dusze za cenę nauk i słów? Nie. Za pozyskanie dusz zapłacił krwią. Czy można zjednać dusze przez omotanie zręcznymi chwytami? Nie. Chcąc zdobyć duszę i przywrócić ją Bogu, trzeba cierpieć”. Pewnego dnia powiedział następujące słowa, które pozwalają się domyślać, jakim cierpieniem musiał stawić czoło: „Kierownik duchowy musi zaznać — nie w formie pokusy, ale drogą doświadczenia — wszystkiego, przed czym winien chronić innych”. Teraz już rozumiemy, co znaczący słowa jednej z penitentek: „Znam ludzi których uratował wywołując w nich poczucie, jak ogromnie cierpiał słysząc wyznanie pewnych grzechów oraz ponownych upadków”.

„Ilekroć spojrzę na kogoś, pragnę udzielić mu rozgrzeszenia”. Jak daleko ksiądz Huvelin posunął się w tym szaleńczym pragnieniu? To on, choć może nie nawrócił Littrego (bo czy ktoś kogoś kiedykolwiek nawrócił?), ale w każdym razie w okresie ostatnich miesięcy życia starego pozytywisty nie opuszczał go i nakłonił do przyjęcia chrztu, zanim wydał ostatnie tchnienie. Fakt ten wywołał liczne polemiki, ale w każdym razie wydaje się prawdopodobne, że ostatnie rozmowy Littrego z księdzem Huvelinem były jedną długą spowiedzią. Czy kapłan oparł się pokusie udzielenia rozgrzeszenia słynnemu penitentowi jeszcze nie ochrzczonego? Wszystko skłania nas do wierzenia, że uległ jej rzeczywistości, podobnie jak po sześciu latach, kiedy to rozgrzeszył niewierzącego de Foucaulda.

Miłość jest odważna. Ksiądz Huvelin nagabuje słynnego Loysona, zakonnika, który zrzucił habit — tego samego Hyacinthe Loysona, który był przyczyną częściowej niełaski kochanego księdza Mugniera. Czy można twierdzić, że w danym wypadku ksiądz Huvelin poniósł porażkę? Czternastego czerwca 1908 roku Hyacinthe Loyson napisał do niego: „Kiedy nadejdzie moja godzina, powiadomią o tym księdza moi bliscy. A wtedy proszę w myśli uklęknąć przy moim śmiertelnym łożu i z głębi przyjaznego i wierzącego serca odmówić piękną

modlitwę Kościoła: Proficiscere, anima christiana!” Tak wyglądały porażki księdza Huvelin.

Podczas gdy ojciec de Foucauld przynosi się kolejno z klasztoru do klasztoru, z Nazaretu do Beni Abbes i Tamanrasset, a w końcu osiąga upragnione męczeństwo — jego kierownik duchowy pozostaje nieznanym w paryskim kościele Saint Augustin (od dziś innym okiem będę patrzył na ten kościół), wleczce obolałe ciało od ołtarza do kazalnicy, od kazalnicy do konfesjonalu — aż do dnia 19 lipca 1910 roku: w tym dniu choroba powaliła go ostatecznie, w chwili kiedy wracał po wyspowiadaniu umierającego. Konał w absolutnej ciszy. Wyszeptał tylko trzy słowa: „Amabo nunquam satis” — „Nigdy nie będę kochał dostatecznie”.

Gdyby Bernanos jeszcze żył, może by zadośćuczynił naszemu życiu i podjął tematy, które nasuwa nam życie księdza Huvelina, może by je skonfrontował z płomiennym obrazem świętego kapłana, intuicyjnie wyczuwanego przez tego świeckiego człowieka, jak gdyby nosił w sobie jego zarodek nie zdławiony, lecz żywy, bo przecież postaci stworzone przez tego powieściopisarza wyzwały w nim niejako człowieka wyświeconego. Bernanos żył, jakby nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca, a jeśli nas znieważał, to może dlatego, że nie posiadał kapłańskiej władzy księdza Huvelina, aby nam wybaczyć.

W wikarym z Saint Augustin z całą potęgą jaśnieje władza kapłańska. Nie moc i chwata, ale moc i pokora.

François Mauriac



# Le Swiato



# KATOLICKIEGO

## JESZCZE O CAŁUNIE TURYSKIM

Szwajcarski uczone przyrodnik, prof. dr Max Frei, przeprowadził szczegółowe badania dwóch fragmentów słynnego Całunu z Turynu, w którym — według tradycji — było owinięte Ciało Chrystusa po zdjęciu z Krzyża. Posługując się mikroskopem elektronowym i skomplikowanymi analizami chemicznymi, prof. Frei zbadał zestalone pyłki kwiatowe znajdujące się na obu badanych fragmentach Całunu. Po długich badaniach zdołał wyodrębnić pyłek sześciu roślin, które rosną tylko w Palestynie, jednej rośliny rosnącej tylko w Turcji i ośmiu roślin krajów śródziemnomorskich. Szczegółowe wyniki swoich badań przedstawił Frei w dniu 8 marca br. w Turynie. „Nie wiem — pisze prof. Frei — czy w przeciwieństwie do tego było owinięte Ciało Chrystusa czy też nie i czy chodzi tu o ten całun, o którym wspomina Ewangelia. Mogę jednak z całą pewnością stwierdzić, że przeciwieństwo to pochodzi z czasów Chrystusa; że znajdowało się ono na wolnym powietrzu w Palestynie, Turcji i kilku krajach położonych w rejonie Morza Śródziemnego”. Dodajmy, że według tradycji całun ten został przywieziony z Palestyny do Konstantynopola w r. 438, skąd w XIV w. przewieziono go do Europy; obecnie znajduje się w Turynie.

## MALŻENSTWO JOHN I EVELYN BILLING NA AUDIENCJI U PAPIEŻA

Papież Paweł VI przyjął na prywatnej audiencji małżeństwo Johna i Evelyn Billing z Australii, twórców nowej metody regulacji poczęć, zwanej w medycynie „Metodą Billinga”. Metoda ta, opierająca się na zasadzie tzw. testu biologicznego, stanowi poważny postęp w dziedzinie świadomego rodzicielstwa. Obok metody Ogino-Knausa i metody termicznej, również ta metoda jest aprobowana przez Kościół Katolicki. „Osservatore Romano” donosząc o tej audiencji informuje, że „metoda Billinga” jest stosowana już w kilkudziesięciu krajach Trzeciego świata, natomiast b. mało zna-

na w krajach zachodnich. „Kiedy bierze się pod uwagę poważne zarzuty i zastrzeżenia, jakie są wysuwane przez nie podejrzanych świadków przeciwko sztucznym środkom regulacji urodzin — czytamy w „Osservatore” — dochodzimy do wniosku, że co najmniej z punktu widzenia właściwie pojętej higieny i stopnia pewności, metodzie Billinga należy przyznać priorytet”.

## KOMISJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO NA DIALOG Z CERKWIĄ PRAWOSŁAWNĄ

Dziwięciu teologów z różnych dystryktów Kurii Rzymskiej oraz z Belgii, Libanu i Stanów Zjednoczonych wchodzi w skład Komisji, która ma prowadzić, z ramienia Kościoła katolickiego, dialog z Cerkwią Prawosławną. Utworzenie tej komisji przez Stolicę Apostolską, jak i analogicznej komisji ze strony Kościoła Prawosławnego, zostało uzgodnione w ub. roku w grudniu, z okazji 10-lecia zdjęcia obustronnych ekskomunik z r. 1054. Inicjatywa utworzenia komisji wyszła od prawosławnego patriarchy Konstantynopola Dimitriosa I, który ją przedłożył Papieżowi za pośrednictwem swego wystannika metropolity Melitona.

## INDIRA GANDHI WYRAŻA UZNANIE DLA PRACY MATKI TERESY

Premier Indii Indira Gandhi wyraziła uznanie dla akcji Matki Teresy, zakonnicy albańskiej, poświęcającej się pracy wśród najbiedniejszych. W czasie wizyty w jednej ze szkół, prowadzonej przez Misjonarki Miłości Bliźniego, zgromadzenia założonego przez Matkę Teresę Indira Gandhi powiedziała: „Matka Teresa nie chciała uczyć w murach klasztornych, a pragnęła służyć najbiedniejszym. Dzisiaj prowadzi w samych Indiach 28 sierocinców, 32 przytulki dla umierających oraz 67 ośrodków dla trędowatych”. Dodajmy, że Matka Teresa organizuje obecnie filię swojego zgromadzenia w stolicy Tanzanii. Zgromadzenie liczy ok. 1300 sióstr.

## KARDYNAŁ KNOX LEGATEM PAPIESKIM NA MIĘDZYNARODOWY KONGRES EUCHARYSTYCZNY

Na 41 Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny, jaki odbędzie się w sierpniu br. w Filadelfii (USA), mianował Papież swym legatem kard. Knoxa, prefekta Kongregacji d/s Sakramentów i Kultu Bożego. Kard. Knox był ordynariuszem Melbourne w Australii, gdzie odbył się poprzedni Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w r. 1973.

## DUCHOWIENSTWO RZYMSKIE NA AUDIENCJI U PAWŁA VI

Przyjmując tradycyjnym zwyczajem na wielkopostnej audiencji duchowieństwo diecezji rzymskiej, Paweł VI mówił o Kościele, który „musimy odbudować od wewnątrz, to znaczy poczynając od nas samych, zanim będziemy go budować na zewnątrz. Duszpasterze winni rozwijać u wiernych zmysł wspólnoty diecezjalnej oraz poczucie służebności i inicjatywy duszpasterskiej”.

## POMOC DLA LIBANU

Lekarstwa wartości 25 tys. dolarów zostały wysłane do Libanu przez amerykańską katolicką organizację „Catholic Relief Service”. Leki te zostały wysłane w wyniku prośby nuncjusza apostolskiego w Libanie, arcybpa A. Bruniera. Zostaną one rozdzielone przez przedstawicieli papieskich i przez „Caritas” w Libanie.

## SEMINARIA W KRAJACH MISYJNYCH

Jak podaje „Osservatore Romano”, polewując się na „Status seminarium indigenarum” za rok 1975, w ostatnich 10 latach zaznaczył się wyraźny wzrost liczb seminariów i seminarzystów w krajach Afryki, Azji, Oceanii i Ameryki Płd. czyby seminariów i seminarzystów w krajach Afryki, Azji, Oceanii i Ameryki Płd. tak np. gdy w r. 1965 seminariów było w tych krajach 85, seminarzystów 5212, nowo wyświęconych kapłanów — 415, to w r. 1975 seminariów było już 99, seminarzystów 8652, zaś nowych kapłanów — 655.

## Za naszą i waszą wolność

Już pięć miesięcy upłynęło od zawieszenia broni. Francja wracała powoli do normalnego życia. Kłóżyli się ludzie około swoich gospodarstw. Na polach gospodarze zbierali niezniszczone plony. Jeszcze wprowadzie dymyły się tu i ówdzie zgliszcza domów, walały się na drogach szczątki mundurów wojskowych i motorów... Jeszcze gdzieś tam ziemia pokryta była rdzawymi plamami krwi, jeżyły się szkielety murów, a z krzyżów o potraskanych ramionach płakał krwawymi łzami niemiłosiernie podziurawiony kulami Chrystus. Ale wojna już przeszła niepowrotnie nad tym obszarem i ludzie mogli żyć nadzieją lepszej doli.

Dolecki przyspiesza kroku, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Ogarnia go słabość. Zanglonyn wrokiem rozgląda się wokół. Na brzegu drogi widzi jakieś zabudowania. Idzie jak lunatyk, ślaniając się na strony. Nic myśli już o niczym. Zamarła w nim cała wewnętrzna istota. Stał się obojętnym na wszystko. Barwy zatraciły swoją jasność, a świat piękno. Nogi wloką się jak u zgrzybiałego starca, poruszają się wyschnięte wargi i blada skurczona twarz jest twarzą Łazarza powstałego z grobu.

Gromadka wieśniaków stoi przed budynkiem i przygląda się wędrowcowi ciekawie. Widzieli już tysiące takich żołnierzy: wynędzniałych, obdartych, gnanych strachem i niepewnością. Ten jednak nie wykazywał strachu. Był co prawda blady i chwiały się jak trzcina na wietrze, ale głowę miał podniesioną do góry i patrzył im śmiało w oczy. Taka postawa wzbudziła w nich zaciekawienie.

Kiedy przystanął na chwilę i oparł głowę o mur budynku, jeden z wieśniaków podszedł i zapytał:

— Etes-vous Français?

Dolecki potrząsa głową.

— Non — mamrocze pod nosem. — Je suis Polonais.

— Ah! Vous êtes Polonais! Il a faim! Donnez-lui à manger!

— Pauvre Pologne! — rozlegają się głosy.

Dolecki podnosi głowę. Stoi między tymi dobrymi Francuzami jak jakieś cudo na jarmarku i wzbudza swoją postawą litość. Serca ich są wrażliwe na głód i nędzę. Już któraś z kobiet pobiegła do kuchni i przygotowywuje mu jedzenie. Zapach smażonej jajecznicy sprawia go o mdłości. Ludzie szepczą między sobą i kiwają z politowaniem głowami.

— C'est un Polonais! Polonais!...

Jan Dolecki odczuwa swoją tragicznościaną sytuację. Krew zaczyna się w nim burzyć. Budzi się w nim dumna. Mimo, że od paru dni żywił się tylko suchym kawałkiem chleba, bo szedł bocznymi drogami aby nie wpaść w ręce Niemców, to jednak głosy te poruszyły go do głębi. Był polskim żołnierzem. Nie żądał od nikogo litości. Zadał szacunku.

Kiedy mu wynoszono z mieszkania kawał chleba

i talerz jajecznicy, Jan Dolecki podziękował skinieniem głowy i poszedł swoją drogą ku dalekiej Polsce.

Wieśniacy spoglądali za nim i stukali się palcem po czole dając sobie do zrozumienia, że mają do czynienia z wariatem.

3

Jan Dolecki jednak nie był wariatem. Był żołnierzem polskim, który po klęsce wrześniowej poszedł wygnać szlakiem do Francji, by dalej walczyć „za naszą i waszą wolność”. Niestety i tutaj nie doczekał się zrealizowania swoich marzeń. Francja uległa temu samemu losowi co i Polska. Rozproszyła się bracia żołnierska na wszystkie strony. Jedni przedostali się do Anglii, inni zostali zamknięci w więzieniach i obozach, a inni wreszcie powrócili do swoich domów i do tej ciężkiej pracy kopalnianej. Dziwna to była wojna!

Stońce przechyliło się na drugą stronę nieba i chłód zaczyna wypływać z lasu. Jest przecież już późna jesień. Pogoda wprowadzie dopisuje, jak rzadko o tej porze, ale pożółkła zieleni i spadające z drzew liście zdradzają prawdziwe oblicze tej pory. Na rozkopanym kartofliśku dojrzał zeschłe badyle. Zszedł z drogi i zaczął grzebać rękami w pulchnej ziemi. Znalazł kilka ziemniaków z radością schował je do kieszeni. Kolację miał zapewnioną. O nocleg się nie martwił. Prześnił się byle gdzie, choćby na gołej ziemi pod drzewem... lub murem.

Przyspiesza kroku i stara się zagłuszyć burczenie żołądka. Niełatwa to jednak sprawa. Żołądek dopomina się gwałtownie o swoją porcję. Jajecznica z szynką sprawiłaby mu przyjemność... Oblewa go pot i odczuwa pierwsze bolesne skurcze w brzuchu. „A jednak pokazałem tym Francuzom, że „Polak nie sługa, nie zna co to pan”...

4

Dochodzi wreszcie do lasu i zanurza się kilka kroków w jego wnętrze. Tu z brzegu może go każdy dojrzeć i może narazić się na nieprzyjemności. Tak samo na brzegu lasu nie ma takiego schronienia przed wiatrem, jak w głębi.

Pod rozłożystym dębem znalazł wygodne legowisko na kupie wyschniętych liści. Zrzucił z ramion torbę, zdjął płaszcz i zaczął rozpalać ogień. Myśl jego krążyła koło znalezionych kartofli i na wspomnienie smacznego mięszu już połykał ślinę.

Pogodny dzień październikowy konał powoli. Stońce schowało się za chmurę i mrok padł na ziemię. Z rękami złożonymi na kolanach Dolecki patrzył w płonące gałązki i myślał o swojej przeszłości. Pod płonącymi gałązkami leżały kartofle, które pieczolowicie okrywał nowymi drewniakami. Był senny i głodny. Starał się jednak nie myśleć o jedzeniu, ale o rzeczach, które odrywały go od tej rzeczywistości. Przed oczami stanęła mu matka o smutnej, szczupłej twarzy i siwych włosach.

(ciąg dalszy nastąpi)

**DELEGACJA.** Gdy w 1918 roku delegacja niemiecka przybyła do marszałka Focha prosząc o podanie warunków kapitulacji dowódca francuski wziął z biurka kawałek papieru i zaczął odczytywać głośno szereg punktów.

— Ależ... ale Panie Marszałku, chyba zachodzi omyłka — wyjąkał z przerażeniem jeden z niemieckich oficerów — przecież żaden cywilizowany naród nie mógłby drugiemu tego rodzaju warunków narzucić!

— Niezmiernie się cieszę, słysząc od Pana taką ocenę — odparł spokojnie Foch. — Nie, Panowie to nie są nasze warunki, to są warunki, narzucone po kapitulacji miastu Lille przez dowództwo niemieckie...

## Z TAJNIKÓW „SMIECHOLOGII”.

Okazuje się, że można określić charakter człowieka na podstawie jego śmiechu. Ludzie dobrze wychowani, uczciwi, solidni i rzetelni śmieją się tak, że w ich śmiechu słychać końcówkę e, e, e. W śmiechu ludzi prostych słychać samogłoski: ho, ho, ho. Ocieżeli, samolubni podczas śmiechu wymawiają: he, he, he. Ludzie chytry, złośliwi, śmieją się wymawiając: hi, hi, hi. Prędkie hi, hi, hi wymawiają podczas śniwania się ludzie lekkomyślni i płosi. Przebiegli i przenikliwi, którzy niełatwo dadzą się oszukać, kończą śmiech na he, he, he lub ha, ha, ha. Rubasznym śmiejąc się kończą: hu, hu, hu.

**NAJBIEDNIEJSI...** Eksperci ONZ opracowali listę najuboższych krajów świata. Na liście tej znalazły się: Betsuana, Burundi, Czad, Dahomej, Etiopia, Gwinea, Lesotho, Malawi, Mali, Niger, Ruanda, Somali, Sudan, Uganda, Tanzania i Górna Volta z państw afrykańskich. Najuboższymi w Azji i Oceanii są Afganistan, Bhutan, Laos, Malediwy, Nepal, Sikkim, Zachodnie Samoa i Jemer. Spośród państw Ameryki Łacińskiej, na liście widnieje Haiti. We wszystkich tych państwach dochód narodowy na głowę mieszkanca wynosi mniej niż 100 dolarów rocznie.

Płowe pagórki jerozolimskie poprzezznane szczelinami skalnymi wyskakują z głębokich dolin, na które lecące samoloty kładą ostro swe niebieskie cienie. Uciekam zeskakując po kamieniach, zjeżdżając z piargami zboczy. Związana, wspinam się na nowe ich nagarbienie, to znów zbiegam, ale huk wrogich motorów goni mnie to z lewa, to z prawa, coraz bliżej, coraz niżej. Pędzona strachem i nienawiścią wzołguję się między olbrzymie bochny gładów.

Wpłaszczam między ich rozpalone wiatrem ściany. Zamieniam się w dwuwymiarową istotę unikając podniesienia głowy w trzeci wymiar: w pękające grzmoty i rozwścieczonych aeroplanów powietrze. Ale pagórki obsypane głazami uparcie wyrastają w olśniewająco niebieskie niebo we wszystkich przejściach i przesmykach, jakimi przeznika się moje ciało. a skrzydła samolotów groźnie siekają przede mną ostrzami cieni wszystkie ukosy stromizny. — Dokądże ma trwać ta makabryczna ucieczka polskiego szaraka ściganego nieważnie przez niemieckie wilki-bombowce? — Strzał! Raz i drugi! — dwie ostatnie kule rewolweru prosto w szybę kabiny! W kadłub, w obrzydły huk, w głowę pilota! To tylko go zniszczy, tylko to go unicestwi. Tylko to zatrzyma haniebny pościg. Ale wraży cień i ogłuszający ryk pikującego Messerschmida wduśza moją głowę w jakiś załom skalny, wtacza czaszkę w chłód i ciemno. — O-o-ch! umieram — bombowiec wali się na mnie i miażdży mi nogę. Ból przesywający, unicestwiający wszelkie zewnętrzne odczuwanie. Tylko — pracuje oddech, który wciska się odór benzyny. Mściwa myśl: widocznie przestrelałam niemiecki zbiornik. To — jednak nie benzyna. Kliwy odór. Czyżby eter? Lepi mi się w nozdrza. Duszę się! Ratunku!

Nagle — różę. Zapach róż! Dlaczego zapach róż? Skąd zapach róż?

W mroczną szparę, w dno wierzącego bólu orzeźwiająco cieknie woń róży cienką strużką, jak pachnący lukier wyciskany z papierowego różka.

— Skąd ta strużka? Dlaczego nieustannie płynie? Otworzyć oczy! Nie mogę podnieść powiek. Tkwiąc bowiem na świdrze przesywającego bólu, który odebrał mi wszystkie siły, unicestwia wszelkie poruszenia. Ale zapach róży,

poprzez duszne kręgi eteru, kojącymi naciekami wsącza mi się w nozdrza, dotykałny, wilgotny, delikatny.

— Jak błogo! Jak przyjemnie!

Nacieki zapachu tworzą wonną krągłą oddzielającą mnie od wrogich samolotów. Kapią mi na policzki. Napływają do oczodołów, podpierają bezsilne powieki naporem napływania. Podnoszą. Już oczy w półotwarte...

— Różo, pąsowa różo kołysząca się tuż nad moją twarzą — z jakiego światła wyrosłaś prosto w mój bezwładny, gorączkowy bezwład? Z krainy baśni, w której natychmiast spełnia się każde zachcenie, każde życzenie, czy — z tamtego odmetu huku i przerażenia? Jakiej rzeczywistości przywrócić mi krople rosy, którymi skraplają mi twarz twoje delikatne płatki? Czy potrafię odważnie stanąć przed dawną rzeczywistością? Różo, ja znów chcę ją formować! Niech się wzniocnią moje bezsilne teraz ręce i słabe zrywy myśli! Niech przebiją się przez duszny eter, jaki z trudem wydychują moje płuca na tym ciemnym nurcie, z którego wirami jeszcze płynę! Niech...

— Proszę otworzyć oczy — rzekła nakazująco róża. Ten niespodziewany, trochę chrapliwy alt zatrzymuje moją świadomość na burzliwej rzece, która unosi. Pomaga wyostać się na powierzchni wciąż szumiącego czasu. Holuje w dostrzeganie spraw i rzeczy. I nagle nad różą — u góry — dwa ogromne białka i ruchliwe gałki oczu. Reszta na razie niknie w brunatnym mroku drżąco nadzianym na migot lampki.

— Kim jesteś? — tchnę słabo wprost w wonny pąs róży i w te oczy.

— Jestem Monna, patentowana infirmerka — mówi róża i spada, miękko przytula się do mego policzka. Spozaj niej — dwie grube, czerwone wargi podnoszą do mnie uśmiech olśniewający co białych zębów. Policzków i brody nie widać. Są czarne.

— Moona, Moona — powtarza Murzynka uderzając się dwukrotnie kciukiem w obfity biust wypychający okrągło biały fartuch.

Przeskok zbyt duży w absolutną inność spraw! Znowu czas zaczyna podejrzanie szumieć nade mną i — najwyra-

źniej nadlatuje daleki warkot samolotów. Więc, by mnie prąd nie porwał zupełnie w tamto, na wszelki wypadek zaczepiam przezornie słowa o krawędź — jak mi się wydaje — możliwej rzeczywistości:

— Czy może niemieckie bombowce bombardują jeszcze Sambor?

— Tu nie ma niemieckie bombowce. One — w Libia, w Cyrenajka. Tu — Jeruzolima. *What is Sambor?*

— Małe miasto w Polsce, *sister Mona* — odpowiadam machinalnie, usiłując przytrzymać rozbiegane myśli. A moje myśli — jak światełka na elektrycznym rozdzielniku. Przeskakują to tu, to tam, z podświadomości w świadomość i na odwrót, tak że znowu nie wiem na pewno, co jest zwidem a co rzeczywistością. Uspokójmy się! Zatem znajduję się w Jeruzolimie i może naprawdę zbiegałam z któregoś z jej licznych wzgórz czy stromych uliczek, jakie albo stale się wspinają, albo dokądś spadają. Dlaczego więc zwidowały mi się niemieckie bombowce, skoro czarna infirmerka twierdzi, że ich tutaj nie ma. Zresztą front — o tysiące kilometrów od Jeruzolimy. Skąd przyszedł mi na myśl Sambor? Przecież tutaj — Jeruzolima. Poczuję się z wysiłku, aby rozwiązać tę enigmę. I zrozumieć te chłusty eteru, jakie wyrzuca moje gardło. Róża przytulona do mego policzka uspokaja mnie delikatnym dotykiem płatków i popycha lekko czas to tu — to tam, w przeszłość. I nagle — zrozumienie jak błyskawiczny obrót o trzydzieści sześćdziesiąt stopni: Sambor — to tamto bombardowanie sprzed kilku lat. To — wyskakowanie z pociągu w biegu atakowanego przez eskadrę Messerschmidtów na jakieś pół kilometra przed miastem. Sambor — to leżenie w przygodnym rowie drenażowym i strzelanie do pilota samolotu, który rzucał bomby na nas, a potem ostrzeliwał rozsypanych po maddniestizajskiej łące. Moja podświadomość namiętna tymi brutalnymi wrażeniami (a gromadziły się one wtedy przez prawie trzy czwarte dnia) nieraz, w niespokojnych snach wyładowywała tamte przerażające impresje. Teraz — pod wpływem narkozy (bo chyba uspięno mnie eterem) i prawdopodobnie jakiegoś silnego wstrząsu fizycznego — wyrzuciła w półsennej zwidach cały zapas zapadłych w nią ongiś makabrycznych doznań, jakie jeszcze wtedy świadomość zepchnęła w jej głębokość.

ci. Jeśli jednak uspięno mnie eterem, musiałam ulec jakiemuś wypadkowi. Przecież *kidnapingu* na mnie nie popełniono. Gdzie ja właściwie się znajduję?

— *Sister Moona, where am I?*

— Znajdujesz się w Rządowym Szpitalu Jeruzolimy.

— ???

— Ja ciebie przebudzić, *Madame*. Ty — mieć *an operation*.

— Operacje? Ja?

— *Yes, a double fracture*.

„Podwójne złamanie” — mruga lampka nocna, a przypomnienia niża się szybko na jej żółte nigoty: pośliznięcie na mokrym chodniku przed arabską restauracją i — szeroki bagnet bólu, który zaczął wwiercać mi się w goleń prawej nogi. Potakiwały mu współczującym kiwaniem *sombrera* australijskich wojskowych, którzy usiłowali mnie podnieść z ziemi. Potem powrót do przytomności unoszonej jerozolimską karetką pogotowia. Jazda po tamtejszych brukach, których ostre kolana podrzucały koła karetki, tak że raz po raz traciłam przytomność z bólu, gdyż tamten uparty bagnet wrywał mi się bezlitośnie każdym wstrząsem coraz głębiej w potrzaskane kości. Ponowne przebudzenie już na szpitalnych noszach...

— Tak, ależ na pewno wierzę w dobre chęci dzielnej armii australijskiej. Niech jednak jej przedstawiciele, tu obecni, zwróca moją torebkę — mówię ze szpitalnych noszy do angielskiego oficera żandarmerii, którego mój przygodny towarzysz a kolega dziennikarz musiał sprowadzić do dyżurni szpitalnej, bo Australijczycy z niewiadomych powodów nie chcieli mi oddać podręcznej torebki.

— Oni chcą panią jutro odwiedzić w szpitalu — tajemniczo odpowiem mi poprzez niebieską ngę służbowy pasek żandarnera pochylony nade mną.

— Bedzie mi bardzo miło. Ale w torebce znajduje się mój dowód osobisty, pieniądze oraz inne dokumenty. Dlatego proszę o zwrot.

— Ty, *Madame*, bardzo jęczeć i rzucać się po operacja — mówi Muna swym „*basic english*”. — I mnóstwo za długo spać. Wiec doktor Hadzaar i doktor Sorano dalej do Muna: ty ją zbudź zaraz, *biała lady!* to Muna brać różę i dotykać twoja twarz: raz, dwa, (dokończenie na str. 9)

## Migawki emigracyjne

SYN POLSKIEGO GÓRNIKA Z MARLES LES MINES — PROFESOREM SORBONY. Prof. dr Henryk Adamczewski osiągnął ostatnio najwyższy stopień naukowy (doktorat „*es lettres*”) na Sorbonie, w Paryżu, po obronie swej 470 stronicowej tezy, w ciągu pięciu godzin, przed jury, składającym się z najwybitniejszych językoznawców, zwłaszcza z anglistyki. Jeden z egzaminatorów, prof. Culioli, powiedział po obronie: „Henryk Adamczewski bronił swej tezy z uporem polskiego górnika. Teza szczegółowo opracowana, bogata, bardzo ludzka i przekonująca, posunie naprzód badania językoznawcze”. Należy dodać, że prof. dr H. Adamczewski nigdy nie wstydył się swego pochodzenia. Jest członkiem honorowym Towarzystwa „Sokół” i „Millenium”. W okręgu Marles les Mines znajduje się nadal jego rodzina i wielu przyjaciół.

DLA UCZCZENIA PAMIĘCI WALERII SIKORZYNY. W Londynie powstał komitet uczczenia śp. Walerii Sikorzyny, zmarłej 19 listopada ubr., która dzięki łasce Bożej wielu ludziom przywróciła zdrowie. Niektóre wypadki uleczeń wydają się być cudownym wydarzeniem. J. E. ks biskup W. Rubin objął nad komitetem patronat. Pierwszym zadaniem będzie gromadzenie dokumentacji. P. Sikorzyna prowadziła szczegółowy notatnik prac i przeżyć, ale wobec nawatu zajęć, od lat zaniedbała pisanie pamiętnika. Dokumentacja dotycząca dobroczynnej działalności posłużyć ma do opracowania książki. Komitet zwraca się z prośbą do osób które śp. Waleria Sikorzyna uleczyła, aby zechciały fragment ten opisać. Potrzebne byłyby świadectwa lekarskie, stwierdzające chorobę i osiągnięte wyleczenie. Potrzebne są ofiary na opędzenie wydatków rzeczowych i na fundusz wydawniczy. Czeki i przekazy wystawiać należy na: „Valery Sikora Memorial Fund”.

Korespondencję prosimy kierować na adres komitetu: 68, Cranwich Rd., London N. 16, England.

Za Komitet: Małachowski

Na tle ostatnich rozważań dobrze będzie wyciągnąć pewne wnioski, względnie: pogłębić niektóre z naszych pojęć. Najbliższe zaś, i ub następne rozważania pozwolą nam zobaczyć jak bardzo to wszystko się łączy z mszą św. Niezależnie od tego, dzisiejsze wnioski posłużą jako oparcie dla dalszych rozważań.

Najpierw więc sam Chrystus i Jego dzieło. Bardzo często tak bywa, że groza jest tak wielka, że Chrystus bywa nieraz pojmowany jako męczennik. Może nawet jako taki, który „musiał” cierpieć wbrew własnej woli. Na cierpienie Chrystusa patrzymy w świetle naszej ludzkiej sprawiedliwości: „Oko za oko, ząb za ząb”. Niedostatecznie wnikając w niezgłębną tajemnicę miłości Bożej, przynajmniej podświadomie dochodzimy do pewnego prawie że bluźnierczego absurdu Boga „niesprawiedliwego”! Bo Chrystus przecież cierpiał niesprawiedliwie — nie za swoje, ale za nasze winy. Ten, który żadnego grzechu nie popełnił — został przywalony ciężarem naszych win, do tego stopnia, że jak hezylita i bezbronny musiał się poddać prześladowcom swoim. Bywa, że świadomie, czy nieświadomie w ten sposób patrzymy na Chrystusa.

Czy zastanawiamy się, że takie pojmowanie Jego ofiary, to prawie bluźnierstwo! To byłoby oskarżenie Boga o jakieś niesprawiedliwe, ślepe i zimne okrucieństwo. Czy Ten, który jest nieskończoną miłością — mógłby chcieć takiego losu dla ukochanego Syna swego? Nawet gdy Go wydał za nas, czy należało to rozumnie jakoby chciał Jego cierpienia i śmierci? Czy nasze spojrzenie na Chrystusa jest możliwe tylko od strony krzyża?

Na tle ostatnich rozważań, spróbujmy od innej strony popatrzeć na Chrystusa. Najpierw: Co to znaczy, że Bóg Syna swego wydał za nas? Czy to znaczy, że Bóg Go wydał na ukrzyżowanie? Bluźniercą byłby, kto by tak sądził. Bóg nie posłał Syna Swego, aby On cierpiał, lecz by stoczył walkę ze ZŁYM, „by świat został przez Niego zbawiony” (J 2, 17). Przyszedł więc aby człowieka wyzwolić z mocy jego śmiertelnego wroga, z mocy szatana. Przyszedł walczyć z szatanem. Patrzymy więc na Chrystusa jako na bojownika, który aż do ostateczności,

bez liczenia się z ofiarami jakie mu przyjdzie ponieść, wiedzie bój o wyzwolenie człowieka. On chce nas wyzwolić z mocy ZŁEGO. **Za naszą wolność jest gotów zapłacić wszelką cenę:** Chrystus, to bojownik — a nie bierna ofiara czy męczennik z przymusu. W czasie ostatniej wojny, japońscy piloci Kamikaze, dobrowolnie i świadomie poświęcali życie walcząc za ojczyznę. Nikt im życia nie odbierał. Oni sami je oddawali za ojczyznę. Oddanie życia wchodziło w ich sposób walki o wyższe dobro. Nie byli męczennikami z przymusu, lecz bohaterami walczącymi aż do ostateczności. Ojczyzna była ich racją życia.

Chrystus po to przyszedł na świat, **aby człowieka, aby duszę jego wyzwolić z mocy szatana. To była Jego racja przysięcia na świat i Jego racja życia. Dusza człowieka była dla Niego większą wartością niż Jego własne życie. Gdy więc wyzwolił duszę człowieka — nawet gdyby życie miał oddać — wtedy dokonał i wypełnił rację swego życia, dokonał tego po co żył.** Chrystus więc — to nie bierny cierpiętnik, niesprawiedliwie karany — ale powiedziałbym — Kamikaze walczący o duszę ludzką. (Dodam na marginesie, że takiego Chrystusa trzeba przedstawić głodnej ideału młodzieży naszej).

W ślad za tym, trzeba też od innej strony popatrzeć na śmierć Chrystusa. Bardzo często się mówi, że Chrystus zbawił nas śmiercią swoją! Czy naprawdę? Bóg mówi: „nie mam żadnego upodobania w śmierci” (Ez 18, 32). Czy Chrystus mógł więc Bogu śmierć złożyć w ofierze? Jeżeli Bóg mówi, że nawet śmierci grzesznika nie chce, ale raczej by się nawrócił i żył, to tym bardziej nie może chcieć śmierci sprawiedliwego. Bóg nie chce śmierci człowieka — ale jego posłuszeństwa — współpracy. Chrystus nie śmiercią nas zbawił — ale posłuszeństwem-współpracy z Ojcem Swym Niebieskim. To było posłuszeństwo-współpracy od której nic go odwieść nie mogło. Świadczy o tym agonía w Ogrójcu i Golgota. To było **posłuszeństwo-współpracy aż do ostateczności.**

Brakami posłuszeństwa i współpracy człowiek zgrzeszył, odpadł od Boga, uległ śmierci. Aby człowieka wyzwolić z grzechu i śmierci. **Chrystus nie śmierć**

przynosi Bogu — ale posłuszeństwo, i to posłuszeństwo aż do śmierci krzyżowej (Flp 2, 8). „Jak przez nieposłuszeństwo jednego człowieka wszyscy stali się grzesznikami, tak przez posłuszeństwo Jednego, wszyscy staną się sprawiedliwymi” (Rz 5, 19). **Chrystus pokonał i zbawił nas, nie śmiercią — ale posłuszeństwem aż do śmierci, posłuszeństwem nawet za cenę życia. Posłuszeństwo Bogu jest więc warte niż życie — oto prawda zbawienia.**

**Rewolucyjnym i zbawczym czynem Chrystusa, treścią i celem Jego życia nie jest walka ze śmiercią, ani nawet walka o życie za wszelką cenę — ale walka ze ZŁYM i to za wszelką cenę, nawet za cenę życia Człowiek stworzony do życia broni się przed śmiercią. Ale walka ze śmiercią jest beznadziejna, jak długo nie będzie pokonana przyczyna śmierci: ZŁY i wszelkie zło jakie ON przynosi.**

Dla lepszego zrozumienia rozprawy ze ZŁYM, możemy w usta Chrystusa włożyć takie rozumowanie: Trudno! Stało się! Bóg stworzył mnie do życia. Utraciłem je przez grzech. Ale do grzechu skusił mnie ZŁY. Moim rewanżem nie jest walka ze śmiercią, ani kurczowe czepianie się życia, lecz walka ze ZŁYM. Jako obraz Boga, człowiek miał być mieszkaniem Boga, który jest życiem. Niestety przez grzech, człowiek stracił życie, stał się mieszkaniem ZŁEGO, który mu przyniósł śmierć. Trzeba więc najpierw pokonać w człowieku tego „Robaka Żła” — który jest przyczyną śmierci.

**Walkę o życie trzeba więc przedstawić na inne tory i rozegrać na innym terenie. Walka o życie — to nie walka ze śmiercią, ale walka ze ZŁYM.** Chrystus więc nie przychodzi, aby znieść cierpienia i życie przywracać tym co zmarli. Gdy niektórych uzdrawia i wskrzesza, to tylko po to, aby udowodnić swoją władzę, rozprawy ze ZŁYM. Sam idzie na czele, życiem swoim pokazuje w jaki sposób walczyć ze ZŁYM i chce byśmy szli za nim i naśladowali Go.

Jedyna i skuteczna walka o życie — to walka ze ZŁYM zarówno w nas, jak i w otaczającym nas świecie.

ks. Witold Kiedrowski



## Duchowni w Dachau

W Niemczech Zachodnich ukazała się monografia pt. „Duchowni w Dachau”, licząca 1158 stron, poświęcona duchownym wszystkich wyznań więzionym w obozie koncentracyjnym w Dachau. Autorem opracowania jest ks. Eugen Weiler, więzień Dachau, który kontynuował pracę ks. E. Thoma rozpoczętą spisywanymi jeszcze w obozie notatkami o losie duchownych — więźniów tego obozu. Notatki te zamierzano w jakiś sposób dostarczyć z obozu kardynałowi Faulhaberowi do Monachium, co się nie udało.

Książka zawiera imienny wykaz więźniów-duchownych wraz z krótkimi danymi o nich, statystyki według wyznań i przynależności narodowej oraz świadectwa i wspomnienia pisane przez więźniów-duchownych. (Przedrukowano m. in. prace abpa Adama Koźłowieckiego i ks. prof. Stefana Biskupskiego oraz opowiadanie K. Krzyżanowskiego i śmierci biskupa Kozala w Dachau).

Podane w książce statystyki zawierają pewne różnice w ustaleniu liczby duchownych, którzy przeszli przez ten obóz. Sam autor książki podaje imienny spis 2785 duchownych. Statystyki współautorów opracowania, które zamieszcza, wahają się między cyfrą 2796 według Bornfelda a 2763 według Schneidera, przy czym wszyscy obejmują również diakonów i kleryków.

Wśród wymienionych duchownych w Dachau wzięni byli dwaj biskupi katolicy, trzech biskupi prawosławni i jeden biskup mariawicki.

Udział duchownych w Dachau według przynależności narodowo-państwowej przedstawiał się następująco: 1813 Polaków, 321 Niemców, 165 Francuzów, 159 Czechów, 93 Austriaków, 60 Holendrów, 46 Belgów, 36 Jugosłowian, 28 Włochów, 17 Luksemburczyków, 5 Duńczyków, 4 Litwinów, 3 Węgrów, 2 Albańczyków, 2 Anglików, 2 Greków, 2 Rumunów, 2 Szwajcarów, 1 Norweg, 1 Hiszpan oraz 3 duchownych bez przynależności państwowej.

Z podanych zestawień wynika, iż w Dachau zginęło 1072 duchownych różnych wyznań, z tego 340 w komorach gazowych, a 732 zmarło z chorób i wycieńczenia. 878 spośród nich to Polacy, w większości duchowni katolicy,

świeccy i zakonnicy oraz 7 polskich duchownych ewangelickich i 5 mariawickich. 315 zginęło w komorach gazowych, a 564 zmarło z chorób i wycieńczenia. Z innych narodowości zginęło w Dachau spośród duchownych różnych wyznań: 78 Niemców, 37 Czechów, 24 Austriaków, 17 Holendrów, 13 Francuzów, 10 Belgów, 7 Luksemburczyków, 3 Jugosłowian, 2 Albańczyków, 2 Włochów, 1 Szwajcar.

Monografia Weillera dedykowana jest czterem biskupom — więźniom Dachau: biskupowi Michałowi Kozalowi, sufraganowi z Włocławka, który w opinii świętości poniósł śmierć w Dachau, biskupowi Gabrielowi Piguet, ordynariuszowi Clermont Ferrand z Francji, więzionemu w Dachau, który zmarł po wyjściu z obozu, oraz dwóm biskupom niemieckim, którzy — jako księża — byli więźniami Dachau: biskupowi Neuhauserowi, zmarłemu niedawno sufraganowi z Monachium, oraz biskupowi Buchkremerowi, sufraganowi diecezji akwizgrańskiej.

### MODLITWA WIERNYCH NA 4 NIEDZIELE WIELKANOCNA

Panie, Jezu Chryste, Dobry Pasterzu,  
prosimy Cię:

1) Za nieszczęśliwych, rozbitych wewnętrznie i złamanych: ukaż im sens życia i natchnij nadzieję.

2) Za tych, którzy wierzą w Ciebie i Ciebie szukają: aby usłyszeli głos Twego wezwania.

3) Za papieża i biskupów całego świata: aby Kościoły przez nich kierowane otwierały wszystkim dostęp do Twojej zjawczej opieki.

4) Za kościoły chrześcijańskie: aby stały się jedną owczarnią z jednym Pasterzem-Chrytusem.

5) Za nas tutaj zgromadzonych: zachowaj nas od duchowej sytości i poczucia zadowolenia z siebie.

Panie, Dobry Pasterzu wszystkich narodów, daj światu dzisiejszemu przewodników pełnych poświęcenia; daj Kościołowi pasterzy wiernych, według Serca Twego. Który królujesz z Ojcem i Duchem Świętym przez wszystkie wieki. Amen.

(dokończenie ze str. 7)

trzy, pięć razy. I twój nos i twoje oczy. A róża — przedtem w szklance. To Muna ją wyjąć i zamaczać sam kwiat w wodę — i raz, trzy, cztery razy kropić lekko twoje czoło. I dotykać raz, trzy, pięć, mnóstwo razy twoje policzki. I Muna mówić bardzo uprzejmie: *Madame, open your eyes, please! Open your eyes, please!* I ty stworzyć oczy.

Istnieją sytuacje w życiu człowieka, gdy bezbronny i bezsilny, bo fizycznie bezwładny, zdany na łaskę otoczenia, wydany na łup różnych mechanizmów zewnętrzności — nie jest w stanie żadnego z nich powstrzymać, niczemu przeszkodzić, ani przed niczym się uchronić, co spoza niego w jakiś sposób weń uderza. I tylko tkwi w nim wtedy ogromna potrzeba, by ktoś serdeczną postawą czy gestem otworzył nagle przed nim krainę dobroci, ojczyznę zawsze przeciwaną, której jest dzieckiem i dziecidem, czasem zabłąkanym, czasem wyrzuconym, lecz zawsze — spragnionym. W szpitalach całego świata budzą z pooperacyjnego snu lekkimi policzkami lub uderzeniami mokrej serwetki czy ręcznika. Czego innego mogłam się spodziewać, cudzoziemka, podjęta po wypadku dosłownie: z ulicy, przywieziona w obce, wielojęzyczne i „kolorowe” środowisko? Ale tu — w tym urzędowym arabskim szpitalu niespodziewany kwiat delikatności ludzkiej wyrósł nagle przede mną i otula mnie miękko subtelnymi płatkami. Duży, mieniący się w mroku. Korzeniem tkwi najwidoczniej w sercu czarnej Muni, ale dziwne: krople jego rosy spływają teraz spod moich powiek. Więc, żeby przywrócić porządek rzeczy w przestrzeni i w czasie, który znów szumi zdradziecko w moich uszach, szepczę spod przymkniętych oczu:

— *Sister Moona*, zupełnie zaschły mi wargi. Proszę o szklankę wody.

— Oh, no! no! Doktor Sorano nie pozwala dzisiaj pić wody. I doktor Hadzaar też... Muna twlko będzie tobie zwilżać usta, *Madame*, o tak: i Muna zanurza całkowicie różę w szklance wody. Strzepuje z płatków jej nadmiar do miednic. A gdy zostały już na nich tylko krople błyszczące w świetle lampki przezroczystymi łzami — zaczyna nimi delikatnie zwilżać moje wargi.

Przytonnieję w uśmiechu:

— Dobra czarna Muna, miła Muna!  
*Maria Petry*

**OŚRODEK WAKACYJNY KSIĘŻY OBLATÓW „STELLA-MARIS”  
W STELLA PLAGE**

Ośrodek Wakacyjny „STELLA-MARIS” w Stella Plage jest czynny:

- Od 27 czerwca do 15 września (we wrześniu udzielamy 10% zniżki).
- Na Zielone Świątki od soboty do poniedziałku włącznie.

Zapisy przyjmuje się wyłącznie za uprzednim i na czas zgłoszeniem listownym. Proszę dokładnie podać okres pobytu (do — od), ilość osób dorosłych i dzieci, oraz wiek tych ostatnich. W wypadku wyboru przez gości określonego pokoju, udzielamy satysfakcji w miarę możliwości, lecz nie zapewniamy.

**ZGŁASZAC SIĘ MOGĄ:**

- Rodziny.
- Młodzież KSMP i inna (od 18 lat ukończonych).
- Wycieczki na jeden dzień, lecz na czas zgłoszone.

**CO NALEŻY ZABRAC ZE SOBĄ:**

- Koce lub kołdrę, prześcieradła oraz poduszkę. Można jednak na miejscu i za minimalną opłatą wypożyczyć koce i prześcieradła.
- Świadectwo lekarskie (obowiązkowe), wystawione w ostatnich dniach przed przyjazdem na wakacje.

**DOJAZD:**

Końcowa stacja kolejowa nazywa się ETAPLES, autobusowa BERCK PLAGE. Stamtąd połączenie autobusowe do STELLA PLAGE. Wysiada się na przystanku „LA MATERNELLE”, obok Ośrodka Harcerskiego „BAŁTYK”. Nasz Ośrodek znajduje się przy ulicy Baillarquet, naprzeciw przystanku w odległości ok. 200 metrów.

**CHARAKTER OŚRODKA:**

Okolice przyjemna i wypoczynkowa wśród lasów i wydm, klimat leczniczy (liczne sanatoria w okolicy), atmosfera Ośrodka rodzinna i katolicka. Regulamin bardzo prosty i niekrępujący. Kładzie się jednak ogromny nacisk na dobre wychowanie i wzorowe obyczaje. Szczególnie poleca się porządek, regularność i CIŚZĘ NOCNA.

**ZGŁOSZENIA:**

Wszelkie zgłoszenia prosimy kierować listownie na adres:

Mr, le Directeur  
CENTRE FAMILIALE „STELLA-MARIS”  
376, rue Baillarquet  
62780 STELLA PLAGE

Życzymy wszystkim miłych i słonecznych wakacji!

Dyrekcja Ośrodka „STELLA-MARIS”

**NAZYWA SIĘ: JUANITA CASTRO**

Walczyła u boku swego brata, Fidel Castro przeciw dyktaturze Batisty. W głębi serca pozostaje zawsze Kubanką. Ale opuściła swój kraj, przyjęła obywatelstwo amerykańskie (by łatwiej było prowadzić małą aptekę) i mieszka spokojnie w Miami, w Stanach Zjednoczonych.

Dlaczego?

— „Walczyliśmy przeciw nieludzkiej dyktaturze prawicy, ale nie wiedziałam, że to wszystko po to, by narzucić narodowi jeszcze straszniejszą dyktaturę lewicy!”...

Dla niej, jej starszy brat Fidel Castro jest takim samym dyktatorem jak Batista.

— „Wiem, że się powtarzam i nie powiem nic nowego. Ale muszę wciąż powtarzać to samo: NIE MA WOLNOŚCI NA KUBIE. Czy wiecie, że każdego miesiąca przyjeżdżają na Kubę wyspecjalizowani agenci sowieccy, by swobodnie zatrzymywać, przesłuchiwać, więzić kogo zechcą?!”

Wie, co by ją spotkało, gdyby się znalazła teraz na Kubie.

— „Nie łudzę się ani na chwilkę, mój brat kazałby natychmiast mnie rozstrzelać” [dawną bohaterkę rewolucji „wyzwoleńczej”!!!!].

Zresztą próbowano już tego dwukrotnie nawet w Stanach Zjednoczonych... Dlatego nie dziwimy się, gdy swój wywiad dla „Paris Match” (27 marca 1976) kończy słowami:

— „Życzę, by mój brat Fidel skończył jak wszyscy dyktatorzy, jak Benito Mussolini: zabity i powieszony do góry nogami”...

Okropne życzenia w ustach kobiety, siostry i z pewnością, nie chrześcijańskiej! Usprawiedliwić je może jedynie doznana krzywda i... wielka miłość (za-wiedziona!).

Bierzemy udział

W PIELGRZYMCE  
do  
PARAY LE MONIAL

15 -- 17 maja 1976